OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 15 (27) Września 1865 roku.

Nr 39. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

TREŚĆ.—**Kościół Swiętego Piotra w Rzymie**, przez *E Majerskiego*, (z drzeworytem). — **Nad kolebką sieroty**, poezja, przez *Juljana*. — **Tajemniczy dom**, powiastka, przez *Zygmunta Gawareckiego*, (ciąg dalszy, z drzeworytem).—**Życie w puszczy**; pamiętnik sprawiedliwego człowieka, opracowany przez *Juljusza Starkla*, (ciąg dalszy, z drzeworytem).—**Omnibusy kolejowe w Warszawie**, przez *Adama Wiślickiego*. — **Kuropatwy Azjatyckie**, przez *Zygmunta Jaroszewskiego*, (z ryciną).—**Swiatło**.—**Rozmaitości**.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO PIOTRA
W RZYMIE.

Świątynia ta, ognisko świata Chrześcijańskiego, wzniesiona jest nad grobem Świętego męczennika, któremu Zbawiciel nasz klucze od Nieba powierzył; zadziwia ona swoim ogromem, bogactwy i wspomnieniami, które tyle wieków przetrwały i jeszcze przetrwają. Opisy téj świątyni, w różnych kosztownych dziełach zamieszczane, nie dla każdego mogą być przystępne, a przecież bazylika S-go Piotra, chociaż ogółowo, każdemu chrześcijaninowi znaną być winna, albowiem ztamtąd wyszło słowo prawdy, łaski i przebaczenia.

W dzielnicy Watykańskiéj, za czasów pierwszych cesarzów, zakładano ogrody; tam je miała szczególnie przepyszne Agrypina starsza żona Germanika, a Domicja założyła je później w miejscu, gdzie wśród nich Adrjan zbudował swój grobowiec.

W roku 41 po Narodzeniu Chrystusa Pana, w ogrodach Agrypiny, Caligula zbudował cyrk; okrutny Nero, w roku 68 połączył ogrody swojéj siostrzenicy Domicji z ogrodami Agrypiny i tam to wspólnie z ludem wyprawiał wyścigi wozowe. Myśli złowrogie nasunęły mu zamiar spalenia Rzymu, celem odbudowania nowego miasta i nazwania go wedle swojego imienia; dwukrotny pożar przez niego dopełniony, z czternastu dzielnic, z których się ówczesne miasto składało, ocalił tylko cztery.



Kościół S-go Piotra w Rzymie.—(Rysował Polkowski—wycięto w drzeworytni Przyjaciela Dzieci).

Nero przerażony własnym czynem, oskarżył Chrześcijan ówczesnych o podpalenie Rzymu.

Tak rozpoczęła się nowa era w historji téj dzielnicy Watykańskiéj, epoka męczeństwa i krwi.

Nero otworzył ogrody swoje, dopełniając wyścigów, lub objeżdżając cyrk wśród zgromadzonego ludu.

Jednym z męczenników, którzy wtedy osiągnęli palmę zwycięztwa w tym cyrku Nerona, był ś-ty Piotr. Tu więc umarł wielki Apostoł, w 33 lat po ukrzyżowaniu Zbawiciela naszego, i był pogrzebany obok murów cyrku; albowiem po ukończeniu podobnych krwawych widowisk, zwłoki męczenników, a raczéj ich kości, pobożnemi tajemnie zbierane rękami, znoszone były do piwnicy gladjatorskiéj. Papież Anaklet, wykrywszy później świętą mogiłę, małą kapliczką oznaczyć ją kazał.

Po upływie dopiero 312 lat, od narodzenia Chrystusa Pana, gdy Konstantyn Wielki ogłosił wiarę Chrześcijańską za panującą w świecie, wzniósł się kościół Ś-go Piotra, na fundamentach owego cyrku Nerona, które były świadkami bohaterskiego zgonu, pierwszych męczenników za wiarę naszą.

Po 36 stopniach, rozdzielonych na 7 ustępów, wchodziło się na taras obszerny, z tarasu, na dziedziniec otoczony podsieniami, które spoczywały na kolumnach marmurowych; w środku dziedzińca, szumiał promieniem wodnym cudnie piękny wodotrysk, jako pamiątka studni oczyszczenia.

Pięcioro drzwi prowadziło do wnętrza świątyni, któréj wymiary znakomite były, gdyż długość dochodziła 310 stóp Paryskich.

W głębi kościoła świecił ołtarz wielki, pokryty baldachimem, a pod ołtarzem spoczęły święte szczątki księcia Apostoła.

Tłumy pielgrzymów, płynące ku Rzymowi, składały niezmierne ofiary, tak, że przybytek Piotrowy wzmógł się w niezmierne skarby; wkrótce zaświeciły szczerozłote posadzki, balustrady, posągi, bogate w massy pereł, kamieni drogich i t. p.

Papież *Mikołaj V.* postanowił zburzyć dawną bazylikę S-go Piotra, która przez lat tysiąc przeszło, była świadkiem dziejowych faktów, i umyślił dźwignąć nowy kościół Piotrowi Świętemu. Polecił budowę kościoła *Leonowi Battista Albertemu* i *Bernardino Rossellini*; jednak niewiedzieć z jakich powodów, roboty te spoczywały przez pół wieku. Gdy jednak potężnego ducha *Juljusz II.* zasiadł na stolicy Apostolskiéj, mianował budowniczym, wielkiego w swojem powołaniu *Bramantego*, który umyślił dźwignąć kościół, w kształcie krzyża greckiego, a na skrzyżowaniu naw, nad grobem Apostoła wznieść olbrzymią kopułę.

Wziął się mistrz z całą sobie wrodzoną dzielnością do pracy, tak, że w roku 1506 dnia 1 kwietnia *Juljusz II.* poświęcił kamień węgielny. Następni mistrzowie zmieniali plany, tak, że budowa, pomimo pracy i nakładów, mało postępowała.

Dopiero papież *Paweł III.* mianuje budowniczym *Michała-Anioła Bounaroti*, dając mu prawo czynienia wszelkich odmian, burzenia i budowania, wedle własnego pomysłu, przy ustanowieniu breve, iż na przyszłość nie będzie wolno odstępować od planu *Michała-Anioła.*

Bouonaroti wraca do krzyża równoramiennego; buduje kościół od razu ze wszystkich czterech stron—budowla ta szybko rosła, tak, iż *Paweł II.* w roku 1549, jeszcze przed śmiercią swoją, obaczył kształt niezmienny cudownego dzieła. Brakowało tylko kopuły; *Michał-Anioł*, liczący naówczas 80 rok życia, na prośby przyjaciół swoich, kazał wykonać model drewniany kopuły.

W roku 1564 *Michał-Anioł*, mając lat 90 życia, umiera.

Po niejakim czasie, kościół prawie cały był już ukończony, w wymiarach, jaki chciał mieć *Michał Anioł*. Późniéj za rozkazem Pawła V-go, a przyzwoleniem rady Kardynałów, ramię wstępne zostało przedłużone o trzy arkady.

Z powodu tego przedłużenia jednego ramienia, nadającego kształt krzyża Łacińskiego, *Maderna* od frontu zbudował facjatę do téj świątyni.

Gdy ten mistrz umarł w roku 1629, następca jego Bernini wybudował jedną z dwóch dzwonnic, wedle rysunku *Maderny*, lecz gdy mury źle założone zaczęły się rysować, rozebrano wieżę, a tak kościół do dziś dnia został bez dzwonnic stosownych. Jeszcze atoli w roku 1626, Papież Urban VIII., poświęcił kościół, dopełniając uroczyście tego obrzędu dnia 18 listopada.

A tak myśl poczęta zbudowania nowego kościoła przez Mikołaja V. Papieża, po upływie przeszło dwóch wieków, po przeżyciu ośmiu papieży, przy wydatkowaniu więcéj jak 200 milionów franków, dopiero przez Urbana VIII-go urzeczywistnioną być mogła.

Plac S-go Piotra składa się z dwóch części, pierwsza jest elipsą, druga rozlegająca się już przed samym kościołem, jest czworokątem. Część eliptyczną owalną, otaczają cztery rzędy kolumn Doryckich, zwierzchu dachem nakrytych, pomiędzy któremi jest wolny przechód; środkowe przejście między temiż jest tak przestronne, że dwa pojazdy obok siebie wygodnie jechać mogą.

Boczne strony placu czworokątnego, otoczone są galerjami, które łączą się z temi kolumnami.

Wśród owalu powyższych kolumn, stoi obelisk Egipski, który od półtora tysiąca lat, stał nad brzegami Nilu, przed świątynią słońca Heliopolis. Gdy obelisk ten stał sam przez długie wieki, niewzruszony wśród ruin cyrku, Syxtus V-ty, pragnąc go ustawić na placu przed kościołem, wykonanie tego dzieła poruczył architektowi i generalnemu mechanikowi *Dominikowi Fontana.* Trzeba było całego talentu *Fontany* w owym XVI-tym wieku, aby rozwiązać tak szczęśliwie tego rodzaju zadanie; albowiem sam obelisk bez krzyża dochodzi 76 stóp wysokości, a waży 936,537 funtów, do którego postawienia w Egipcie w swoim czasie użyto 20,000 ludzi. Mistrz Fontana; sam kierował robotami, już obelisk miał stanąć na podnóżu, gdy postrzegł, że liny, brzemieniem obelisku zbytnio wyprężone, lada moment pęknąć mogą, a tak dzieło tysięcy lat, w jednéj chwili zniszczonem zostanie. W tym stanowczym momencie, jeden majtek z tłumu, ogromnym głosem krzyknął: (pomimo poprzednio surowego nakazu milczenia przez papieża). „Wody, wody na liny.” *Fontana* kazał zmoczyć liny i obelisk osadził się na podnóżu swojem; miało to miejsce, w d. 10 września 1586 roku. Historja dochowała nam nazwisko owego majtka; nazywał się Brusca, który za ocalenie swoją przytomnością umysłu, tak wielkiego dzieła od zniszczenia, otrzymał wyłączny przywiléj dla siebie i na wieczne czasy dla potomków swoich, dostarczania ludowi Rzymskiemu, palm na Kwietnią Niedzielę, co sprzedającym takowe, znaczne dochody przynosi.

Font ınę na rękach obnoszono po Rzymie; przez Papieża został mianowany szlachcicem i kawalerem złotéj ostrogi, z pensją 2,000 skudów złotych.

Syxtus V-ty kazał na tym obelisku zatknąć krzyż 26 stóp wysoki, a tak obelisk wraz z krzyżem, do 120 stóp od ziemi wznosi się. Po obu stronach obelisku, grają cudnéj wspaniałości wodo-tryski; ze szczytu tych fontann granitowych 24 stóp wysokich, woda strzela jeszcze 16 stóp, to jest dosięga dwóch piętér zwykłych wymiarów. Po długim ustępie owalnéj kolumnady i czworoboku przed kościołem, dochodzimy do facjaty téj świątyni, za którą wznosi się pod Niebiosa majestat przepysznéj kopuły.

Następnie wchodzimy do przysionka, gdzie nad głównemi drzwiami znajduje się sławna Nivicella, to jest, owa mozajka *Giotta*, przedstawiająca kościół w kształcie łodzi, na rozhukanem morzu; Święty Piotr bieży do Zbawiciela; nad łodzią szaleją wrogi kościoła, pod postacią uosobionych wichrów.

Jakie czyni wrażenie ogrom téj świątyni, niemogę lepiéj tego opowiedzieć jak przytaczając słowa szanownego autora *„Podróży do Włoch,”* dzieła, nawiasem powiedziawszy, pomnikowéj wartości:

„Przestąpiłem progi; (mówi pan Kremer)—przestrzeń niezmierzona okiem, jakby osobny dla siebie świat, a państwo jakby Bożych cudów rozwarło się przed oczyma mojemi. Tam w dali, jak w todze, staje ołtarz wielki, pod wzniosłym baldachimem, przed

ołtarzem powyżéj posadzki, niby wśród róż nieruchomych, świecących robaczków, błyszczą światła i mówi ci przewodnik, że to są lampy wiecznie gorejące nad grobem Świętego Piotra. Oddalenie ogromne pogrążyło ołtarz i baldachim i lampy w atmosferze modrawéj. Po nad ołtarzem wzbija się ku Niebu kopuła, ale jéj saméj jeszcze nie widzisz; zatrzymawszy się niedaleko przy wstępie, widzisz jako powłoki światła z góry spływają na ołtarz, oblewając go, jakby błogosławieństw glorją, a ludzi mijających ołtarz, ledwie odróżnić można tak ich postacie zdrobniały, zmalały w sobie.”

(Dokończenie nastąpi).

NAD KOLEBKĄ SIEROTY.

— „Sierotko mały! o czem tak śnisz?
Że po koralach twoich usteczek,
Błąka się uśmiech hożych dzieweczek;
Że na twych ocząt ślicznych bławatkach,
Dwie łezki błyszczą, jak rosa w kwiatkach.
Sierotko mały! o czem tak śnisz?
O ciesz się! ciesz się, boś jeszcze nasz!”
Tak mówił wietrzyk szemrząc listkami,
Mówiły ptaszki, trzepiąc skrzydłami,
Mówiły kwiatki, wznosząc główeczki,
Tak mówił strumyk, płynąc do rzeczki:
Ciesz się sierotko, boś jeszcze nasz!
A u nas tylko miłość i śpiew.
Więc ja, rzekł wietrzyk łezki osuszę,
Kołyskę twoją lekko poruszę,
Złociste włoski z czoła odgarnę,
Milutkie główki kwiatków przygarnę.
Bo naszem życiem: miłość i śpiew!
Słowik ci co dzień zanuci pieśń,
My od słoneczka cię zasłonimy,
Mówiły drzewa. My zabawimy,
Wołały kwiatki—bławat, stokrotki:
Pobaw się z nami! A dla sierotki:
Słowik co dzień zanuci pieśń.
Sza! cicho kwiatki pomruknął wiatr,
Ja w złote struny tych pól uderzę,
A strumyk także akord dobierze,
I gdy po Bożéj harfie powieję,
Słowik wam miłość, wiarę nadzieję
Zadzwoni smętnie. Tak mówił wiatr.
Sza! cicho kwiatki, niech śpiewa wieszcz!
To mówiąc, wietrzyk liści uchylił,
A słowik wybiegł i coś zakwilił,
Niby modlitwę o słowa wieszcze...
A potem główkę wzniósł wyżéj jeszcze,
Siadł na kołysce... już śpiewa wieszcz:
— O moi drodzy! a czy wy wiecie,
Co to sierotą chce nazwać świat?...
O! dziś sierota, to Boże dziecię,
To naszych bratków, rodzony brat.
To dziś dla ludzi ptaszyna Boża,
To gwiazdka, którą sam zatlił Bóg,
To anioł wiary, co u rozdroża;
Trafi do Stwórcy przez cierń i głóg.
Czemuż ty świecie! ty mrówczy tłumie,
Kędy się płacze, kocha i klnie,
Czemuż wy ludzie, w waszym rozumie;
Kochacie kwiatki a sierot nie?...
O! wam weseléj, gdy młode ptasze,
W więzieniu ciasnem prześpiewa dnie,
A że sieroty... to nasze, nasze,
Więc je z was każdy też zamknąć chce?...
O! nie zamknięcie! bo dziecię Boże,
To Boże tylko—a straszny sąd
U wrót niebieskich spotkać was może:
„Za ból sieroty idźcie precz ztąd!”

Lecz nie płacz dziecię! bo lepiéj radość,
Przystoi dzisiaj usteczkom twym;
Ty woli Boga uczynisz zadość,
On cię śpiewakiem uczyni swym.

Juljan.

TAJEMNICZY DOM.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 37 i 38).

— Co tobie jest moja kochana, zapytał się pan Piotr, zwróciwszy się do staréj Gertrudy.

— Oh! odpowiedziała ona zająkując się nieco, jakżebym chciała tam jechać, gdzie pan teraz się udajesz. Oh! jakżebym ja rada pojechała razem z panem.

— Ze mną, a toż po co?

— Aby widzieć to raz w życiu chociaż! O jakżebym ja chciała zobaczyć to wszystko!

Czoło pana Piotra okryło się zmarszczkami na te słowa i po chwili powiedział: Okropność! kobieto wierzaj mi, że na te sceny smutne, nie życzę ci nigdy patrzeć.

O, pan wiesz, że nie mam ani strachu, ani też takich jak pan uprzedzeń. Weź mię pan ze sobą tylko, a zobaczysz czy ja będę drżała. Przecież można dobrze pozamykać drzwi, to i dom będzie tak bezpieczny, jakbym ja w nim była.

— A z *bladym* co zrobisz?

Stara zastanowiła się nagle.

— To prawda! nikt zresztą nie wie, że on u nas mieszka.....

— Moja kochana, bądź dla *niego* usłużną i dobrą; zbliża się bowiem być może i dla niego ta chwila, w któréj już przestaniemy mu być potrzebni.

— O nie bój się pan o to, staram mu się zawsze o ile tylko mogę we wszystkiem dogodzić.

Pan Piotr ścisnął teraz jéj rękę, poczem dał koniowi ostrogę, i pokłusował tak szybko drogą, prowadzącą przez obszerną płaszczyznę, że wkrótce postać jego znikła w cieniach, jakie zawsze noc rzuca w około, pomimo nawet przyświecania księżyca.

Całą tę rozmowę wysłuchali ciekawi z miasteczka, którzy ukrywszy się za murem ogrodu, z największem zajęciem byli świadkami poufnéj mowy mieszkańców tajemniczego domostwa. Widzieli też dobrze odjeżdżającego właściciela tego smutnego mieszkania, ztąd teraz wyszli ze swego ukrycia i pociągnęli ku znajoméj nam gospodzie *„Pod konikiem,”* gdzie już było zgromadzonych wiele osób, a pomiędzy temi i sam mer miasteczka.

— No, i cóż to jest za jeden ten pan Piotr? Czyście się o tem wywiedzieli? Zapytano ze wszystkich stron.

Ciekawi podglądacze, opowiedzieli wszystko co słyszeli i widzieli, a nawet to, czego wcale ani widzieli ani słyszeli, porobili mnóstwo najdziwaczniejszych przypuszczeń. Wypito przedtem wiele cydru[1]), ale na nic stanowczego nie zgodzono się, i byliby tak do rana radzili z hałasem, na największą pociechę właściciela gospody, który coraz stawiał nowe dzbanki z napojem i nowe talerze z pokarmem

[1]) Cydr jest to napój wyfermentowany z jabłek, którego wiele wyrabiają i używają we wszystkich prowincjach północnéj Francji, jak np. w Bretanji. *(Przyp. Red.)*

przed zebranemi gośćmi, gdyby nie przybycie staréj żebraczki.

Stała ona już dobrą chwilę przy drzwiach, czekając, aż się znajdzie jakieś litościwe serce, a przytem przysłuchując się gwarnéj rozmowie, aby się też do niéj wmięszać. Teraz odezwała się ona:

— Chcielibyście wiedzieć co to za człowiek? a to nic łatwiejszego nad to; ja go znam dobrze, gdyż nie dawno widziałam go w mieście Kimper.

— Tyś go widziała? Ty go znasz dobrze? A czemuż nie gadasz..... a gadajże przecie! Ho gospodarzu! dajcieno téj matce półkwarty cydru i pieczoną nogę gęsią, zawołał mer miejski.

— Toż właśnie, skorom się dowiedziała o kim wy tak rozmawiacie, zaraz powiadam, żem ja tego człowieka widziała.

— A w jakimże to miejscu?

— U grabarza, odpowiedziała stara żebraczka, która się teraz bardzo dla wszystkich zajmującą osobą stała.

— U grabarza?! powtórzyli wszyscy z największem zadziwieniem.



Ależ do rzeczy kobieto... zawołał zniecierpliwiony mer.—(str. 312, szp. 1)·
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Sznage).

— I cóż on tam robił? zapytał się mer urzędowym tonem.

— Nie wiem ja tego tak dobrze, gdyż niewiedząc, że się to wam na coś ta wiadomość przydać może, niesłuchałam z wielką uwagą, tembardziéj, żem pilnie zważała na pewną panią, która miała minę litościwéj duszy, i ztąd spodziewałam się od niéj pewnego datku, ale zawiodłam się.....

— Do rzeczy! do rzeczy kobieto. Co nas tam mogą obchodzić twoje litościwe dusze, powiedz co wiesz o tym tajemniczym Piotrze, odezwał się mer miasta znowu.

—A prawda, żem zboczyła z drogi, bo to panowie widzicie, ciężkie czasy teraz, człowiek musi patrzeć, zkąd mu jaki grosz kapnie, a i tak nędzy się namrze.....

— Ależ do rzeczy, do licha kobieto! zawołał z niecierpliwiony urzędnik.

— A! czekajcie, niewiem o czem *on* z grabarzem rozmawiał, alem słyszała jedno jego zdanie, które mię zastanowiło mocno.

— I cóż to było, za zdanie? zawołali wszyscy chórem.

— Oto on powiedział do grabarza, co sobie dobrze przypominam: *Wykopiesz dół zwyczajny, ja ci zapłacę za wszystko......*

— Panowie! zawołał nagle mer miasta, przerywając mowę żebraczce i niedozwalając jéj nawet dokończyć, odkrycie to zrobione przez tę kobietę, jest dla mnie rzeczą największéj wagi! Teraz wiem już wszystko!

— I cóż więc myślisz?

— Sądzę, żem odkrył sekret właściciela tajemniczego domu.

— Jakto? jego sekret?....

— Naturalnie! teraz bowiem wiem już dobrze, kto on jest taki.

— I któż więc taki? zapytali wszyscy.

— **Upior!!** odpowiedział mer tajemniczym głosem, i zrobiwszy oczy pełne przerażenia. Nie czytaliżeście to, mówił po chwili szanowny mer do zgromadzonych, a o czem jest pełno wiadomości w starych książkach, co zresztą i starzy ludzie wszyscy potwierdzają, że zdarzają się na świecie takie potwory, które, prócz postaci człowieka, nic więcéj ludzkiego nie mają w sobie. Otóż takie to potwory chodzą w nocy na cmentarz i tam wyprawiają sobie stypy, zjadając świeżo pogrzebanych zmarłych.

— Marjo! Matko Boża, zmiłuj się nad nami, zawołały jękliwie kobiety.

— Co za pogwałcenie cmentarzy, zawołali mężczyzni.

— Co znowu za baśnie, podobneż to do prawdy, odezwało się kilka zaledwie głosów.

Taką niewiarą kilka tylko osób, cały ogół zdawał się być dotknięty. Dziś bowiem nie tak łatwoby się znaleźli wierzący w upiory, ale co innego było przed laty, i jeszcze w Bretanji, któréj ludność dziś nawet jeszcze za najskłonniejszą do zabobonów i przesądów poczytują. Posłyszawszy więc takie niedowierzanie, odrzekł zaraz, niemniéj od innych obrażony, mer miasteczka: To nie są wcale bajeczki, a przecie o tem Mikołaj Tlemel mówi, Grotius przytacza liczne tego przykłady, a i wszyscy nawet inni to stwierdzają.

— No! jakże my teraz dojdziemy całéj prawdy?

— Nic łatwiejszego, trzeba na wszystko zwrócić najpilniejszą uwagę, i wszędzie słuchać i podglądać, a prawda sama jak oliwa wkrótce wyjdzie na wierzch.

— Nasz mer ma rację, odpowiedzieli wszyscy.

— Wiecie wy, co mi jeszcze przyszło na myśl, oto przypominacie wy sobie tego pana, co to przybył tu do nas z Paryża przed dwoma laty?

— A tak!

— Otóż przybył on tutaj z żoną.

— Prawda! prawda! On tu przywiózł swą żonę na suchoty słabą.... Oj, byłaż to jak anioł piękna dama, a biała jakby z alabastru utoczona. Nawet po śmierci mało co się zmieniła, i zawsze była anielsko piękna.

— Szkoda nieboraczki; ona w pół roku po przyjeździe zmarła, odezwał się znowu ktoś inny.

— Pochowano ją na cmentarzu, tuż obok kościoła.

— Poczekajcie-no! Ważniejsza tu kwestja wychodzi na stół, któż z was powie, co się stało z mężem téj zmarłéj pani, powiedział mer z uśmiechem tryumfującym.

— Utrzymują, że odjechał zaraz potem do Paryża.

— Dobrze, ale któż to widział—w takim razie?

— To prawda, nikt tego nie widział odpowiedzieli chórem.

— Otóż widzicie; spotykano nieraz Paryżanina z tym panem Piotrem prowadzącego się pod rękę; i zapewne wyciął mu jakąś djabelską sztuczkę i zgubił biedaka, byle tylko jeszcze nie z duszą.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ŻYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA,

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 35 do 38).

ROZDZIAŁ II.

w którym jest opisane samotne życie w puszczy.

— A pójdziesz łysek! a pójdziesz ha! — wołała Basia, kiedym się na drugi dzień ze snu słodkiego obudził. Zrazu nie wiedziałem gdzie jestem; lecz gdym oczy otworzył i ujrzałem Basię, przypomniało mi się wszystko. Głośne ujadanie psa, zwróciło uwagę moją w drugą stronę: żółty kondel z najeżoną na karku siercią przyskakiwał ku mnie odedrzwi naszczekując, a Basia go odganiała i wreszcie do sieni wygoniwszy, drzwi za nim zamknęła. Spojrzałem ku oknu; biały i dobry już dzień zaglądał w szyby. Zerwałem się więc czemprędéj i zapytałem Basi:

— Toć to już musi być bardzo późno?

— Ha, ha, ha, — zaśmiała się dziewczynka; już niedaleko południa.

— A czemużeś mię nie zbudziła?

— Bo tatuś mówił, że ty musisz być bardzo zmęczony i nie kazali cię budzić.



...Tomasz podniósł mnie i przycisnął do serca.. ..—(str. 312, szp. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Regulski).

Rzeczywiście, spostrzegłem dopiero teraz, żem się nie bardzo mocno na nogach trzymał, a głowę miałem nieco ciężką i jeść mi się setnie chciało. Poprosiłem więc Basi o jakie śniadanie, które już było dla mnie przygotowane, i pytam:

— A gdzie ojciec?

— Poszedł w puszczę, i nie wróci aż na południe.

Skorom się już pożywił i czuł silniejszym, rzekłem Basi, żeby mi co do roboty dała, gdyżbym się chciał odwdzięczyć za litościwe przyjęcie, a po południu w dalszą drogę ruszyć mi wypada. Lecz dziewczynka, kręcąc się koło swych garnuszków, jęła się śmiać ze mnie, i rzekła:

— A rób sobie co ci się podoba!

Po niejakiéj chwili atoli, odstawiła kipiące garnuszki od ognia, a wziąwszy mnie za rękę, wywiodła na podwórko, chcąc mi całe obejście pokazać. Podwórko było maleńkie, ale bardzo czysto i schludnie utrzymane; nie było na niem ani gnoju, ani żadnych śmieci; a porządny płot otaczał je do koła i łączył z naprzeciw stojącą stodółką i stajenką. Z jednego boku, podnosił się skrzypiący żóraw nad studnią, z drugiego boku prowadziła furtka do niewielkiego sadu.

Gdyśmy tylko stanęli na środku podwórka, opadło z krzykiem kilkanaście kurek i kogutków Basię dokoła; więc ona wydobyła z fartuszka kilka garści ziarna, i rzuciła pomiędzy tę krzykliwą gromadkę. Poszliśmy do stajenki, stały tam dwie krówki po jednéj stronie, a dwa tęgie koniki po drugiéj. Basia mówiła mi, że dla tego ich na paszę nie wygania, bo w nocy był deszcz ulewny, a mokra pasza na wiosnę chudobie łatwo szkodzi; daje im więc suchéj paszy do południa, a po południu, skoro zupełnie obeschnie, będą mogły wyjść już na pastwisko. Potem obejrzeliśmy dwa prosiaki w obok stojącym chlewku, nad którym był zmyślny kurnik dla drobiu zbudowany; ztąd udaliśmy się do sadu, obudzony łysek wyglądnął ze swéj budy i zaczął warczeć, Basia przywołała go do siebie, a pogłaskawszy pieszczotliwie podniosła mu łeb w górę, i patrząc mu się w oczy groziła palcem, a potem pokazała na mnie, i rzekła:

— Łysek, pamiętaj nie szczekać na tego chłopca, bo to dobry chłopiec. Idź, pocałuj go w rękę.

Pies odrócił się, a obwąchawszy mię na wszystkie strony, zbliżył się wreszcie i polizał mnie po ręce. Więc ja pogłaskałem go za to, a nawet schyliłem się i w łeb go pocałowałem, bom się nie mógł wydziwić rozumowi tego zwierzęcia, i zdawało mi się, że tu wszystko jest cnotą i poczciwością zaczarowane.

Ruszyliśmy więc już z łyskiem do sadu. Było to niewielkie ogrodzone miejsce z kilkoma drzewami owocowemi, pomiędzy któremi ciągnęły się ładnie uprawione grzędy z jarzyną. Pod oknem wychodzącem na ogród z izby, gdzie Tomasz i Basia sypiali, było kilka niewielkich grządek z kwiatami. Gdyśmy tu stanęli, odezwała się Basia:

— To moja praca Antku! Tu ja sobie sama kopię i sadzę i plewię, a tatuś już mi się nic do tego nie miesza.

To mówiąc, schyliła się i urwała kilka fijołków, rosnących w cieniu wysokiego krzaka róży i zatknęła je sobie do włosów.

— A czy ty znasz się na kwiatkach? zapytała mię nagle.

— Nie, odparłem zarumieniony.

— Więc ja ci ponazywam niektóre, rzekła Basia. Te czerwone z żółtemi prążkami, jak kielichy do góry stojące, to są *tulipany*, które mają korzenie podobne do małéj cebulki. Prawda, że ładne? A te wysokie białe to są *lilje*, te zaś białe mniejsze, jak gwiazdki wycięte, z czerwonemi brzeżkami we środku, to są *narcyzy*. Liljami i narcyzami stroję zawsze obraz Świętego Józefa, bo tam maleńki Jezus ta-

kże takie same kwiatki w ręku dźwiga. A tutaj pod krzakami róży, masz pachnące fijołki i podobne do do nich *bratki*, ładniejsze od polnych.

— A te krzaki czerwone, co jeszcze nie kwitną? zapytałem Basi.

—Te ciemno-zielone, to jest *Boże drzewko*, a te jasno-zielone to *ruta*. Obydwa te krzaczki są najpotrzebniejsze do wieńca na Matkę Boską Zielną, bo odganiają zapachem zarazę i owady. A powąchajże jak pachną, dodała Basia, uskubnąwszy kilka listków Bożego drzewka i ruty, i kładąc mi je do ręki.

— A tutaj, mówiła daléj dziewczynka, przechodząc do innéj grządki, są znowu nasadzone ziela na różne choroby. I tak najprzód to ziele z wołochatemi listeczkami, które roztarte w rękach, bijący zapach wydają, to jest *mięta pieprzowa*, bardzo skuteczna na boleści w żąładku. Tu zaś z gładkiemi i białemi liśćmi, niebiesko kwitnący *ślaz*, z którego się zbiera kwiat, liście i korzonki, jako leczący ból piersi i kaszel, od przeziębienia powstały. A tamte wysokie krzaki pod parkanem znasz?

— O, znam, odrzekłem uradowany, że choć cóś, umię, to jest *bez*, co biało kwitnie i czarne ma jagody.

— Otóż widzisz, jak tylko ten bez dobrze się rozkwitnie, tak ja pozrywam zeń kwiatki i ususzę, bo kwiat bzowy jest bardzo skuteczny na przeziębienia i ciężkości na piersi, gdyż poty sprawia, i tem ulgę choremu przynosi. Oprócz tego, zbiera się jeszcze kwiat z lip, które u nas w lesie rosną, a w polu na wydmach piaskowych rośnie *dziewanna*, z któréj kwiat z lipowym kwiatem na kaszel bardzo pomocne. Oprócz tego, rośnie jeszcze na piaskach *piołun*, a w moczarach *tatarskie ziele*, które obydwa są nadzwyczaj gorzkie, ale tatuś moczy je corok w mocnéj wódce i pije z tego czasem po małym kieliszku na niestrawność czyli na wzmocnienie żołądka. Mówi także mój ojciec, że woda z umoczonego piołunu, centurji i tatarskiego ziela, bardzo jest dobra na zimnicę, czyli febrę, ale ja jeszcze febry nie miałam, więc nie wiem.

Nie mogło mi się w głowie pomieścić, jak ta mała dziewczynka tyle o ziołach wiedzieć i spamiętać mogła; stałem więc zadziwiony patrząc się na nią jak w obrazek, kiedy ona obróciwszy się zawołała:

— Ach, ja tutaj rozpowiadam ci o ziołach, a tam na kominie pewnie mi co wykipiało. Powiedziawszy to, furnęła mi z oczu jak ptaszek.

Zostałem sam w ogródku; rozglądałem się więc po drzewach, z których niektóre białym kwiatem jak śniegiem opruszone stały, i patrzałem po grzędach zieleniejących się różnemi warzywami, a gdym potem spoglądnął na dom i na podwórko i na łyska i na drób krzykliwy: to mi się to wszystko tak pięknem wydawało, żem mimowoli pomyślał:

— Jakie tu szczęście w téj zagrodzie.

Wnet atoli zamroczyła się ta myśl inną myślą i rzekłem sam do siebie:

— Nie dla ciebie to szczęście biedny sieroto! Ty musisz iść w świat na biedę, na nędzę i na urągowisko ludzkie. Kto wie, może cię tam nie z jednéj chaty wyrzucą i będziesz pracował w pocie czoła i nigdy sobie nic nie zapracujesz, bo sierota nie ma opieki na téj ziemi, tylko w jednym Bogu.

I zasmucony podniósłem oczy do góry, a po Niebie toczyło się jasne słoneczko, rozsiewające ciepło i światło, życie i urodzajność po całéj ziemi.

Stałem tak chwilę zapatrzony w górę, gdy nagle uczułem czyjąś rekę na mojem ramieniu. Odwróciłem się przelękniony; był to stary Tomasz, z łagodnym uśmiechem na twarzy.

— Czegóż ty chłopcze szukasz po Niebie? zapytał.

— Ot nic, mój gospodarzu, patrzę i myślę.

— A o czemże ty myślisz? pytał daléj Tomasz.

A na to ja zasmucony, rzekłem:

— Myślę o tem, żeby wam powiedzieć Bóg zapłać za gościnę i ruszyć w dalszą drogę, dokąd mi wskażecie, żebym znów nie błądził.

— A cóż, to ci się tu niepodoba? rzecze stary Tomasz.

Nie wiedziałem co na to odpowiedzieć, gdyż mi się zdało, że sobie staruszek żartuje; lecz on widać zmiarkował mój kłopot i pyta:

— Czemuż nie chcesz tu zostać?

Wtedy ja chwyciłem za kolana starego Tomasza i rzeknę:

— Z duszy serca radbym tu zostać mój ojcze, ale czy wy mię przyjmiecie biednego sierotę?

— Jeżeliś leniuch i nie chce ci się pracować, rzecze Tomasz, to jużci, że cię nie przyjmę, ale jeżeliś poczciwy i pracowity, to zostań i pracuj z nami.

Co mi się przy tych słowach działo, to trudno wypowiedzieć. Upadłem do nóg starego Tomasza i ucałowałem jego kolana, a cały świat wydawał mi się weselszy i piękniejszy.

— Póki sił stanie, będę pracował, mój ojcze, wyjąkałem przepełniony radością, a Tomasz podniósł mię, przycisnął do serca jak syna, i rzekł:

— Na pracy i poczciwości zasadza się żywot poczciwego człowieka. Jeżeli będziesz o tem każdéj chwili pamiętał, to sobie szczęście tu i tam zgotujesz; na ziemi przyciśnie cię każdy do serca jak ja cię teraz przyciskam, a po śmierci Pan Bóg cię nagrodzi.

Od téj chwili zostałem parobkiem u starego Tomasza i chwaliłem Ojca Niebieskiego, że w skutek zabłąkania tak cudownie sprowadził mnie do tego człowieka. Przez pierwsze dwa dni obznajmiałem się z gospodarstwem i robiłem koło domu, a nie mogłem się wydziwić jak tam było wszystko pięknie i rozumnie urządzone. Za obórką od strony pola, znajdowało się porządnie urządzone gnojowisko na miejscu suchem i podniosłem, tak, że woda deszczowa nigdy do niego nie zaciekła, zwłaszcza, że też dla niéj osobno odcieki porobiono. O dobry gnój dbał Tomasz najwięcéj, zwłaszcza, że rola piaszczysta koniecznie go potrzebowała. Więc do gnojowiska znosiło się oprócz gnoju z obory, wszystkie inne odchody, błoto i śmiecie z podwórka, kępiny i rumowiska, a oprócz tego, dodawał Tomasz do gnoju, wiele popiołu, który umyślnie na to w lesie wypalał. Jakiem się też późniéj dowiedział świerk ów palący się, na którym w lesie nadybał, przez niego był podpalony. Więc gnój wyrzucony z obory, układało się za każdem wrzuceniem do równa w gnoisku, przysypując popiołem, śmieciami i innemi odchodami z gospodarstwa.

Roli nie było wiele; nie spełna pięć morgów. Ale dla tego właśnie, że gnoju było podostatkiem, więc miałeś rolę ślicznie uprawioną. Oprócz tego, było jeszcze zaraz na wstępie do lasu pastwisko dla chudoby, a daléj w puszczy sianożęć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OMNIBUSY KOLEJOWE W WARSZAWIE.

Rok już temu przeszło, jak tylko rozpoczęło się sypanie wału na Pradze od dworca kolei Petersburgskiéj do nowo-wzniesionego mostu, doniosły zaraz gazety o zamiarze urządzenia kolei konnéj w naszem mieście. Obecnie zamiar ten przybiera wszelkie prawdopodobieństwo zjszczenia się, a do niego dołączony został projekt urządzenia omnibusów kolejowych passażerskich. Koléj konna wychodzić będzie, jak powiedzieliśmy, z dworca kolei Petersburgskiéj na Pradze, a przeszedłszy most na Wiśle, przez Zjazd, Krakowskie-Przedmieście, ulicę Królewską, Marszałkowską, dojdzie do dworca kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj. Głównie zbudowaną zostanie w tym celu, aby towary z jednéj kolei przeprowadzać z łatwością i tanim kosztem do drugiéj, po któréj mają być ekspedjowane daléj. Węgiel kamienny, potrzebny dla opalania całéj linji kolei żelaznéj Petersburgskiéj, będzie tu najważniejszym przedmiotem przewozu; dostarczają go zaś jak wiadomo kopalnie Szląskie i nasze krajowe, koleją Warszawsko-Wiedeńską. Urządzenie więc kalei konnéj, to jest takiéj, wagony któréj ciągnione są po rejlsach czyli szynach końmi, może mieć dla handlu i przemysłu naszego miasta znaczną korzyść. Lecz zrobiono uwagę, iż czynność przeprowadzania towarów da się wykonywać nocną porą, gdyż w dzień nawet nie szerokie wagony zaprzątałyby ulicę i tamowały swobodny ruch powozów. Nie przeszkadza to przecież, aby w dziennéj porze nie użytkować z kolei, a mianowicie przez urządzenie omnibusów pasażerskich na téj całéj linji. Za granicą istnieją już takie omnibusy, z niemałem powodzeniem i dogodnością publiczną. Początek dał im Amerykański inżynier nazwiskiem Treen. Droga według jego metody składa się z dwóch rzędów szyn ułożonych jak rejlsy zwykłéj kolei, z tą jednak różnicą, że znajdują się na jednéj płaszczyznie z brukiem ulicy, i tym sposobem nietamują wcale ruchu jazdy zwyczajnéj. Omnibusy chodzące po takich kolejach, są dwa razy większe od zwyczajnych, gdyż mieszczą od 50 — 60 ludzi. Urządzenie ich niezmiernie wygodne, a każdy powóz opatrzony jest mechanizmem, za pomocą którego konduktor i woźnica, nieopuszczając swych miejsc, mogą się komunikować. Para koni ciągnie je z prędkością 6 wiorst na godzinę, chociaż szybkość ta może być zwiększoną do 9—10 wiorst w tymże samym czasie. Co się tyczy zwrotów, wykonywają je z wszelką łatwością, mianowicie przy uważnem kierowaniu woźnicy. W Bostonie, Filadelfii, Nowym-Yorku i wielu innych miastach Zjednoczonych Stanów Ameryki Północnéj, istnieją podobne koleje, a w 1854 roku, w Nowym-Yorku przewiozły one 34,000,000 pasażerów; na tę liczbę było tylko 12 mniéj więcéj lekkich wypadków. Przedstawiają przeto one zupełną pewność i bezpieczeństwo. Istnieją one także i w miastach Angielskich: Liwerpoolu, Manchester, Glasgowie, a ostatniemi czasy urządzono je w Petersburgu, gdzie za kurs od osoby płaci się dziesięć kopiejek. U nas w Warszawie roboty mają być niebawem rozpoczęte, a jeżeli sama koléj i omnibusy okażą się praktyczne dla naszych stosunków, zamierzają podobno urządzić drugą linję: od ulicy Marszałkowskiéj przez Grzybów, Żelazną-Bramę, Zimną, plac Bankowy, Leszno na Franciszkańską, w celu połączenia dwóch handlowych ognisk Warszawy.

Adam Wiślicki.

KUROPATWY AZJATYCKIE.

Pomiędzy kilku odmianami kuropatw, szczególniéj wyróżnia się odmiana, utrzymująca się w okolicach gór Himalajskich, w Azji, a którą przedstawiamy na drugostronnie umieszczonéj rycinie.

Jak to już z rysunku widzimy, kuropatwa ta różni się wielce samym nawet kształtem, od powszechnie znanéj i żyjącéj u nas kuropatwy, która jest kusą, kiedy Himalajska przeciwnie ma ogon długi i kształt w ogóle przedłużony.

Jest to niezaprzeczenie najpiękniejsza odmiana ze znanych dotąd, i może być uważana za prawdziwą ozdobę parków.

Pierś ma jaskrawo-czerwoną, kiść czuba zabarwioną, zwieszoną ku tyłowi głowy, jasno-żółtą, która osłania prawie całą szyję zabarwioną ciemno-żółtą, a otoczoną dokoła czarnemi jakby aksamitnemi obwódkami; grzbiet ma nareszcie zielony, podbrzusze żółte, skrzydła czerwone, przeplecione piórkami niebieskiemi i nogi żółtawe.

Mięso téj kuropatwy, mającéj wraz z ogonem dwie stopy i 6 cali długości, jest nadzwyczaj smaczne, delikatne i soczyste.

Kuropatwa Himalajska, jest za to znacznie dzikszą od naszéj, przyczem jest też ostrożniejszą, lękliwszą i niedającą się oswoić, a nawet przechowywać w klatkach, gdyż jest delikatną i niemogącą znosić niewoli, która pozbawia ją swobody ruchu, nieodzownego do jéj życia, dla czego najwięcéj po kilkunastu dniach więzienia, spędzonego w klatce, zazwyczaj umiera.

W ogólności o kuropatwach możemy to powiedzieć, że rozmnażanie się ich postępuje niejako w pewnéj mierze odnośnie do stopnia cywilizacji, czyli inaczéj, postępu oświaty—z nią ulepszonéj kultury i większego stosunku zaludnienia jakowegoś kraju.

W miarę bowiem ubytku zwierząt dzikich, zmniejszenia się lasów, od których stronią i w miarę staranniejszéj uprawy pól, rozmnaża się to ptastwo nawet tam, gdzie go pierwéj nie było.

U nas nie przestrzegane jeszcze należycie prawo, o właściwie dozwolonéj porze polowania i niewydany surowy zakaz wybierania jaj przez pasterzy, oraz nie wzbronione dotąd wyłapywanie zimą całkowitych stad, przez przemyślniejszych włościan, staje się przyczyną, że to wielce pożyteczne ptastwo, jeszcze się tak nie rozmnożyło, jakby spodziewać się należało.

Mała tylko liczba prawdziwych lubowników polowania i to ludzi z sercem, czujących, że nawet i zwierzętom nie powinien człowiek odmawiać opieki, urządza i u nas schronienia dla kuropatw w miejscach osłonionych krzakami, gdzie podczas ostréj zimy, otrzymują pożywienie złożone z różnych poślądów.

Ten tak niewielki zachód i koszt, powraca się też sowicie hodowcom, i życzyćby tylko należało, ażeby ten dobry przykład znalazł liczniejszych naśladowców, i nieograniczał się do usiłowań wyjątkowych.

Zygmunt Jaroszewski.

ŚWIATŁO.

Ze wszystkich cudów, które nas otaczają, nie masz nic godniejszego naszego podziwu, nad światło. Jakiż smutny byłby los człowieka na ziemi, otoczonego ciemnościami; biedny lud ziemski prędkoby zaginął. Słońce i gwiazdy, są to niewyczerpane źródła światła. Światło wydobywa się przez uderzenie, przez tarcie, przez działanie chemiczne, to jest: przez połączenie pewnych ciał z sobą i przez elektryczność, o któréj w tem pisemku obszerniéj się kiedyś rozpiszemy. Jak światło słońca jest wielkie, tak będziecie może mieli wyobrażenie, kiedy wam powiem, że potrzeba 9,000 księżyców w pełni, aby sprawić na ziemi światło, jakie nam przesyła słońce. A wiecie też, jak daleko jest słońce od ziemi? oto przeszło 20,000,000 mil, a światło które przebiega na sekundę 42,569 mil (podług Fizeau), musi biedz przeszło 8 minut od niego do ziemi, zaczem go zobaczymy naszemi oczami; ale żebyście to jeszcze lepiéj zrozumieli, to wam powiem: obrachowano, że kula armatnia przebiega 3,000 stóp na sekundę, czyli około 105 mil na godzinę, otóż gdyby kula biegła z taką szybkością ciągle, musiałaby lecieć bez przerwy 22 lat, żeby zaleciała z ziemi do słońca.

ROZMAITOŚCI.

— Pragnienie wzbogacenia się, pędzi niekiedy człowieka daleko po za obręb jego rodzinnéj zagrody. Są znów mężowie, którzy z wyraźnem wystawieniem się na niebezpieczeństwo, pośród nieprzyjaznych żywiołów, w walce z dzikimi ludźmi lub zwierzęty, przedzierają się przed odwieczne dziewicze lasy nowego świata, lub usychając z pragnienia, z narażeniem własnéj osobistości, przebywają niedostępne dotąd środkowéj Afryki pustynie. I zapytacie może, co ich do tego skłania? odpowiemy: miłość nauki, rozjaśnienie wiedzy i podanie współziomkom bliższych wiadomości o krajach i narodach, których dawniéj, albo bardzo mało, albo wcale nieznano. Cześć więc ludziom tak odważnéj a mozolnéj pracy! Imiona ich z uwielbieniem wspominać będzie potomność, bez względu do jakiéjkolwiek należeli oni narodowości, bo jak słusznie powiedziano, jedna tylko nauka ściera uprzedzenia rodowe i łączy nierozerwaną spójnią wiedzy i szacunku nieprzyjazne przedtem sobie ludy. Poznanie się wzajemne mniéj oświeconego z oświeconym człowiekiem, podnosi wiedzę pierwszego, tak samo się ma i z narodami; wszak nie tak dawno dzikie Amerykańskie ludy, przyjęły chrzest cywilizacji, dziś po upływie kilku stuleci, w nie jednym względzie Ameryka przodkuje i za wzór służy staréj Europie.

Te kilka uwag przyszły nam na myśl, gdyśmy się zastanowili nad ostanią podróżą ziomka naszego Antoniego *Wagi* b. profesora nauk przyrodzonych w szkołach Warszawskich, odbytą na Wschód: był on w Egipcie, Nubji i Abissynji. Ciekawe spostrzeżenia jego o ludach i krajach tych, mamy nadzieję, że i *Opiekun Domowy*, w swych szpaltach zamieści. Dziś zwracamy uwagę na bogaty zbiór rzeczy przyrodzonych, zebrany w tych krajach przez pana Wagę, jaki w naszym gabinecie Zoologicznym w Warszawie już w większéj części się znajduje, nadmieniając: że obecnie szanowny profesor wybrał się w nową podróż do Krymu.

—Przy téj sposobności wspomniemy także o kilku stratach, zadanych przez śmierć na niwie odkryć jeorgraficznych i tak 15 września r. z. zmarł w Anglji w Corscham, kapitan John *Speke*, urodzony w 1827 roku. W roku 1844 wstąpił on do armji Indyjskiéj, probował zwiedzieć kraj Somali, przy czem został ciężko ranny. W 1855 roku odbył kampanją w Krymie. Od roku 1857 do 1859 włącznie, odbył podróż do jeziór Wschodnio-Afrykańskich, w któréj to podróży, wynalazł dwa jeziora Ukerwee i Victoria-Nyanza. Ostatnia jego podróż odbytą została łącznie z kapitanem Grantem w latach 1860 do 1863, celem wynalezienia źródeł rzeki Nilu.



Kuropatwy Azjatyckie.—(str. 315, szp. 2).
(Wycięto w drzeworytni Lipskiéj Lorcka).

W dniu 30 listopada roku 1864 zmarł w Sierra-Leonne W. H. *Baikie*, dowódzca Angielskiéj ekspedycji do rozpoznania źrodeł Nilu, w 1854 roku, przebywał on w Afryce przez lat 7 ciągle, gdzie go, jak to rzekliśmy, śmierć zaskoczyła. Juljusz *Gerard*, znany jako ideał myśliwca na lwy afrykańskie, utopił się w miesiącu wrześniu 1864 roku w powrocie swym z Big-Boom. *Bain*, wielce zasłużony pod względem badań geologicznych południowéj Afryki, zmarł 20 października 1864 roku.

—P. Adam *Wiślicki*, podług zasad Karola *Rittera*, ułożył do użytku szkolnego: „Wykład jeografji powszechnéj.” Ponieważ autor, jest współpracownikiem *Opiekuna Domowego*, powstrzymujemy się przeto z wyrzeczeniem własnego sądu o tem dziełku, wyręczając się zdaniem p. J. P. wypowiedzianem w jednem z pism Warszawkich: „Ritter dla jeografji uczynił bardzo wiele, bo z pewnego zbioru rozproszonych, żadnym systematycznym węzłem niepołączonych wiadomości, uczynił ją prawdziwą umiejętnością, będącą podstawą dla historji, statystyki i ekonomji politycznéj. Nadto sposób porównawczy, przez zestawienie obok siebie, czy to rozległości czy położenia, czy wreszcie ludności jakiego kraju, łatwiéj utkwi w pamięci uczącego się i jaśniejsze da mu o rzeczy wyobrażenie. P. Wiślicki nader zręcznie, przy zdarzonéj sposobności, powyższy wzgląd uwydatnia, przez co wzbogaca i umacnia wiadomości podane.”

— Znakomici fizycy, opierając się na rozlicznych doświadczeniach, utrzymują: że wpuszczenie zewnętrznego powietrza do systematu żył, tak w człowieku jak i w zwierzętach, natychmiastową niebolesną śmierć sprawia.

Koniec Kwartału III-go 1865 r.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, ADAM MIECZYŃSKI.